DODATEK LITERACKI
DO „DZIENNIKA BERLINSKIEGO"
WYCHODZI CO DWA TYGODNIE.

Rok II. | Berlin, niedziela, dnia 14 maja 1922 r. | Nr. 10.

Dumka wygnańca.

Na dolinie, na zielonej
Widzę w dali wioskę małą,
Domek płotem ogrodzony,
Na zakręcie brzozę białą;
Do gościńca droga długa.
Na niej lipy i topole;
Poza wzgórkiem srebrna struga,
A za strugą szczere pole.
Nawet kwiatki takież prawie
Na pagórku, na przydrożu,
Dziki piołun w bujnej trawie
I bławatki rosną w zbożu.
Gdyby jeszcze tam na boku
Krzyż się chylił na rozstraju,
A dąb siwy u potoku,
Tobym myślał, żem już w kraju.

Jaka cicha, szczęsna chatka,
Przy niej matka, dziewcząt dwoje...
Czemuż to nie moja matka?
Czemuż to nie siostry moje?
Słońce zaszło za lasami,
Lud wesoły idzie z pracy.
Czemuż się nie cieszę z wami?
Czemuż wyście nie Polacy?

Ptak powrócił w swoje gniazdo,
Zwinął skrzydła utrudzone:
Chmurne losów moich gniazdo,
Gdziesz mię wiedziesz, w którą stronę?

Płyńcie, płyńcie, łzy tęskno y,
Nieutulne łzy tułacze,
Może jeśli dzień przepłaczę,
Noc przyniesie mi sen złoty.

Teofil Lenartowicz.

MYŚLI.

Prawda jest jak słońce, które zaćmienie może przyćmić na chwilę, lecz zniszczyć jego światła nie zdoła.

Są ludzie, którzy sądzą, że do wszystkiego są zdolni, bo jeszcze niczego nie doświadczyli.

Można z nieumiejętnego stać się umiejętnym, ale zarozumiałości nigdy się pozbyć nie można.

Przez liczne szczeble trzeba przedzierać się do fortuny; żeby zejść z jej przybytku, dosyć jednego szczebla.

Traf rozrządza fortuną bardzo często, więc nie trzeba się dziwić, że nieraz wpływa na dobrę imię.

Rachujemy długość życia naszego przez ilość lat pobytu naszego na świecie; właściwiej zaś rachować ją należałoby przez przeciąg czasu, w którym umieliśmy z życia korzystać: niejeden, co umarł, mając sto lat, jeszcze nawet żyć nie zaczął.

Król Stanisław Leszczyński
Myśli rozmaite.

U nas każdy lubi się podjąć urzędu, choć wie, że mu nie wydoła, a choćby nawet wydołał, jednak nie lubi pracy i subjekcji; pragnie on, aby za niego kto inny robił, sam zaś, aby się tylko urzędem zastawiał.

Nie można odmówić naszej ziemi, żeby nie była płodna w dowcipy (tj. talenty), którym najrzadziej towarzyszy wielki majątek.

Hugo Kołłątaj.

Jasna Góra.

Na północny zachód od Krakowa, na drodze wiodącej ze Śląska ku Warszawie, nad rzeką Wartą, wśród szeroko ciągnących się równin leży Częstochowa, której założenie sięga niepamiętnych czasów. O pół mili od tego starożytnego miasta wznosi się Jasna Góra, na której szczycie są warowne mury Ojców Paulinów i kościół, gdzie się znajduje ów słynny obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. Mury klasztoru były niegdyś silną warownią i niejednokrotnie oparły się szturmom wojsk nieprzyjacielskich. Dziś pozostały już tylko szczątki dawnych fortyfikacji.

Przez cztery bramy i mosty, niegdyś zwodzone, wchodzi się na dziedziniec klasztorny. Nad czwartą, głęboko sklepioną bramą w ostatnim wale, wymalowany jest wizerunek Władysława, księcia opolskiego, który na dłoni trzyma kościół częstochowski, na znak, że on to kościół ten założył i w nim sławny ów obraz umieścił. Wokoło kościoła i klasztoru ciągną się zabudowania różnego kształtu i przeznaczenia, jako to: sala do bierzmowania, zbrojownia, pokoje królewskie, apteka, stajnia, słowem, całe miasteczko, pancerzem obronnego muru objęte.

Pielgrzym, wszedłszy do kościoła, dąży jaknajśpieszniej do kaplicy, w której znajduje się cudowny obraz Matki Boskiej, wymalowany na cyprysowej desce, według podania, przez św. Łukasza. Tłok pobożnych, którymi zawsze przepełniona jest kaplica, z trudnością dozwala zbliżyć się do jej wnętrza. Przed ołtarzem wisi osiem lamp srebrnych, z których jedna jest darem króla Jana III. Sam obraz obwie-

szony jest kosztownemi darami, klejnotami i drogiemi kamieniami. Równie bogate są mnogie dary królów i panów, z czcią największą przechowywane w skarbcu klasztornym. Jest tam krzyż srebrny i takaż monstrancja, dar Zygmunta I; pomiędzy wielu ornatami szczególną na siebie uwagę zwraca ornat perłami wyszyty własną ręką królowej polskiej Jadwigi; znajduje się sztandar turecki i zegar brzowy, ofiarowany przez Sobieskiego, jako zdobycz wyprawy pod Wiedniem. Są tam kosztowne buławy hetmanów, n. p. Stanisława Rewery Potockiego, a obok nich widzieć można także skromny kij pielgrzymi, z którym Mikołaj Radziwiłł, zwany Sierotką, odbył pielgrzymkę do Ziemi świętej, do grobu Zbawiciela.

Po starodawnej stolicy Krakusa, od najdawniejszych czasów żaden gród polski nie jest tak drogim każdemu sercu jak właśnie klasztor jasnogórski. Władysław Jagiełło, wyruszając na krzyżaków, modlił się w Częstochowie i błagał pomocy i opieki Marji. Piotr Skarga gorąco nieraz w kaplicy jasnogórskiej prosił Boga o natchnienie, i wielu innych znakomitych mężów, wielu mocarzy przed świętym obrazem klęczało. Z rozkazu Władysława IV krótko przedtem rozszerzony i przebudowany klasztor otoczono murami, zmieniając go w silną warownię. Chyba przeczucie jakieś kierowało tym czynem króla, bo niedługo potem świątynia jasnogórska ważną w dziejach naszych odegrała rolę.

Wojska szwedzkie zalały kraj; jedno miasto po drugiem wpadało w ich ręce, nawet Kraków musiał najezdnikom otworzyć bramy. Przyszła kolej na Częstochowę. W r. 1655 Mueller dowódca wojsk szwedzkich, na czele licznego wojska zbliżył się do murów klasztoru i zażądał, by mu otworzono bramy, a gdy zakonnicy odparli, iż nigdy tego nie uczynią — gradem kul sypać rozkazał. Zaczęło się oblężenie, któremu podobnego nie było może w historji świata. Garstka żołnierzy, kilkudziesięciu ubogich mnichów z odwagą stawiało czoło tysiąckroć liczniejszemu nieprzyjacielowi, przed którym drżał świat cały. Ale nad klasztorem czuwała moc potężniejsza niż wszystkie ziemskie moce— czuwała opieka Panny Marji! Klęska po klęsce spadały na Szwedów. Kule, wprawną ręką szwedzkich puszkarzy kierowane, cudownem zrządzeniem przelatywały nad klasztorem, nic mu złego nie czyniąc.

Oblężeni raz po raz dniem i nocą robili wycieczki i znienacka, niby grom spadali na Szwedów, kładąc ich trupem w około, jak nawałnica gradowa, gdy w pole pszeniczne uderzy. Żołnierzami w twierdzy jasnogórskiej dowodził Stefan Zamoyski, miecznik sieradzki, ale prawdziwą duszą oblężonych był przeor Paulinów, ks. Augustyn Kordecki, którego pomnik bieleje wśród ogrodu klasztornego. W sam dzień Bożego Narodzenia, wstydem i hańbą okryci, odstąpili Szwedzi od Częstochowy po pięciutygodniowem oblężeniu, a bohaterska obrana garstki mnichów i żołnierzy taki wzbudziła zapał we wszystkich, tak skrzepiła osłabione serca, że kraj cały jak jeden człowiek dźwigał się z odrętwienia. Ręce za oręż chwyciły, i niezadługo potem okrutnych najezdników wypędzono z Polski.

Ufność i miłość do Matki Bożej z biegiem lat wzrastały i wzrastają. Jak rok długi ciągną do Częstochowy tłumy pielgrzymów ze stron najodleglejszych. Ile tu westchnień gorących popłynęło do nieba, ile łez rzewnych spadło na ziemię, ile próśb błagalnych i dziękczynień wzniosło się ku niebiosom, ilu strapionych znalazło spokój, a nadewszystko ilu grzeszników pojednało się z Bogiem! — Stolicą duchowną ludu polskiego była i jest świątynia jasnogórska. „Panno święta, co Jasnej bronisz Częstochowy.“ Tem wezwaniem Bogarodzicy, rozpoczyna nasz wieszcz swój najsławniejszy poemat.

Uczta w Gnieźnie r. 1000.

Było to w roku 1000. W mieście Gnieznie ruch wielki panuje, lada chwila oczekują w nim bowiem przybycia Ottona III, cesarza Niemiec; na wszystkich ulicach tłoczno, gwarno i wesoło. Znany z pobożności cesarz zapragnął odwiedzić grób świętego Wojciecha, którego ciało Bolesław sprowadził do Polski z sąsiedniej Polanom ziemi pruskiej, gdzie był zamordowany przez dzikich Prusaków za to, że chciał wiarę Chrystusa wśród nich szerzyć. Mówiono też, że inna jeszcze pobudka skłoniła cesarza do nawiedzenia Gniezna: oto chciał on poznać Bolesława, który po ojcu swym Mieszku władzę kneziowską nad Polanami oddziedziczył, a rządząc mądrze i dzielnie, zyskał sławę nietylko u swoich, lecz i wśród obcych.

Zwykle taką pielgrzymkę pobożny, choćby z najdostojniejszej rodziny pochodził, choćby to był sam król, sam cesarz — odprawiał boso, w koszuli.

Wiedział o tem Bolesław, więc kazał od samego Poznania aż do Gniezna i przez Gniezno całe aż do kościoła Wniebowzięcia Panny Marji, gdzie spoczywały zwłoki świętego męczennika, wysłać drogę czerwonem suknem i na spotkanie cesarza w licznym orszaku rycerstwa podążył.

Około południa pobożny orszak ujrzał wśród błyszczących zdala, jak wielkie szmaragdy jezior i stawów, naprzeciw siebie mury Gniezna, otoczone wieńcem wzgórzy. Przodem szedł Otton III boso, w koszuli, obok niego Bolesław Chrobry w świecącej zbroi, w hełmie na głowie za nimi na koniach panowie niemieccy i rycerstwo polskie z których jeden wiódł konia Bolesławowego, drugi Ottona; za tymi szli łucznicy i tarczownicy, którzy stanowili piechotę Bolesława. Rycerstwo polskie strojnie i bogato było przybrane, wszystko na jedwabiach, purpura, szmaragd mięszały się tu razem i tworzyły olśniewającą górę kolorów.

Minąwszy mury, otaczające miasto, weszli do środka i skierowali się ku górze, zwanej Lechową, na której wznosił się kościół Wniebowzięcia Panny Marji, wspaniała murowana świątynia.

W progu kościoła spotkał cesarza, otoczony młodszymi kapłanami, biskup poznański Ungier i poprowadził go do wnętrza, gdzie w samym środku kościoła wznosiło się wspaniałe mauzoleum, mające na ołtarzu wspaniałą trumnę, ozdobioną srebrnemi blachami, na których zasługi świętego Wojciecha były wypisane. Trumna zawierała kości męczennika, na niej spoczywał ze srebra wyrobiony sam święty w szatach biskupich.

Na widok grobu świętego męża cesarz Otton padł na kolana, i, zalawszy się łzami, modlił się gorąco; inni toż samo uczynili. Gdy powstał, Bolesław zaprosił go do siebie na ucztę; udali się przeto na zamek, lecz pierwej w zakrystji kościoła cesarz przybrał się inaczej: wdział suknię jedwabną, płaszcz purpurowy, podbity gronostajami, trzewiki i złocistą koronę.

Zamek gnieźnieński skromny był z pozoru: drewniany, prostej budowy — gdyż innych wówczas jeszcze w Polsce nie znano, tylko kościoły stawiano murowane, — lecz wnętrze świadczyło, jak Polska bogatą się stała.

W wielkiej i długiej świetlicy, której ściany obite były kobiercami, stał stół dębowy, ciągnący się przez całą jej długość, a nakryty kijowskim obrusem śnieżnej białości. Jarzące światła z czterech wielkich, sześcioramiennych świeczników, ulanych ze szczerego srebra, padało na ten stół i na mnóstwo naczyń ze złota, srebra i kryształu, pod któremi stół się uginał. Około stołu ustawione były ławy, suknem czerwonem kryte, a w środku, na podwyższeniu wznosił się tron cesarski, purpurą poszyty, ze złotemi frendzlami.

Na ścianach tej świetlicy błyszczały przepyszne zbroje, pancerze, hełmy, miecze, włócznie, topory, a pod ścianami stały beczki z piwem, miodem i winem zamorskim. Obok beczek stali pięknie przybrani podczaszowie i stolnicy czekając na pojawienie się gości.

Wśród odgłosu trąb, piszczałek i bębnów wszedł cesarz Otton III, a za nim Bolesław Chrobry, jego żona Kunilda, kobiety dworskie, biskupi księża i rycerstwo obu monarchów.

Gdy wszyscy zasiedli na przeznaczonych sobie miejscach, służba poczęła roznosić jadło: na olbrzymich srebrnych półmiskach udźce sarnie, pieczenie wołowe i cielęce, polędwicę z dzika, ptactwo wszelkiego rodzaju, a między niem pawia sztucznie upieczonego, że wszystkie pióra miał na sobie i lśniący ogon raztaczał; śliczne podpłomyki z miodem, kluski obsypane indyjskiemi korzeniami. Cały stół tem zastawiano i wszyscy biesiadnicy zabrali się do tej uczty żwawo. Podczaszowie zaczęli nalewać wina, miodu i piwa w czasze, dzbany i rogi, a choć stokilkadziesiąt osób przy uczcie zasiadło, nie brakło nigdzie niczego. Cesarz Otton jadł mało a mówił jeszcze mniej. Wziąwszy przed siebie cietrzewia, obłamywał na nim palcami kostki i ogryzał je wolno, rzadko podnosząc swe wielkie czarne oczy. Za to Chrobry jadł ze smakiem, a pił jeszcze lepiej. Ogromna jego twarz zaczerwieniła się mocno, a oczy ciskały groźne błyskawice, patrząc, czy gdzie czego nie brak. Zobaczywszy kamernika swego, Niemirę, skinął na niego i rzekł:

— Po uczcie wszystkie naczynia złote i srebrne, kobierce z tej izby i zbroje z tych ścian zaniesiesz, jak wczoraj i onegdaj, do komory cesarza. Niech pamiętają mnie Niemcy.

Jedzenie było dobre, w świetlicy jasno i ciepło; napoju wbród, to też wkrótce zarumieniły się twarze i gwar mnóstwa głosów i języków rozległ się po sali.

Nagle Chrobry podniósł się i olbrzymia jego postawa zdawała się panować nad całym tym tłumem. W ręku trzymał róg bawoli, w złoto okuty, i podnosząc go w górę, zawołał donośnym głosem:

— Za zdrowie mego gościa!

Zagrzmiały tysiączne okrzyki; wszyscy się podnieśli, Otton powstał także, i biorąc róg z rąk Chrobrego, kazał sobie nalać weń wina i rzekł swym cichym melancholijnym głosem: — Piję za zdrowie mego brata, Bolesława, króla polskiego! — i duszkiem wychylił puhar.

Wyrazy „króla polskiego“ zrobiły ogromne wrażenie na wszystkich. W izbie zapanowała cisza, a wszyscy patrzeli na Bolesława, który zerwał się na równe nogi i stał, mocno wzruszony.

Cesarz milczał przez chwilę, poczem tonem uroczystym mówił:

— Rzekłem „króla polskiego.“ Nie godzi się bowiem tak wielkiego męża hrabią albo księciem nazywać.

To powiedziawszy, zdjął z swej głowy maleńką koronę i włożył na potężną lwią głowę Chrobrego.

Na ten widok wszystkie piersi zagrzmiały potężnym okrzykiem. Jedni krzyczeli: „Niech żyje król Bolesław“ inni „wiwat!“, inni „hoch!“, jeszcze inni „żywie i sława!“ Wrzawa była ogromna, a jakby na dobitkę zapiszczały piszczałki, zagrzmiały trąby i surmy; rycerstwo nalewało puhary, piło i krzyczało. Polscy wojewodowie pozrywali się z ław i biegli do króla. I chwycili go na ręce, i podnieśli w górę, i obnieśli tak dokoła po wszystkich izbach, około wszystkich stołów, wołając z pełnych piersi: „Oto nasz król! Niech żyje Bolesław!“ A Chrobry, przytrzymując ręką maleńką koronę, śmiał się i mówił: „Jedzcie i pijcie i bawcie się wesoło“, lecz w duchu myślał: „Jakie on ma prawo mnie koronować? to przecież tylko jeden papież uczynić może. Ja tu na swoich śmieciach taki cesarz, jak i on.“ Tak to zabawiali się prodkowie nasi przed tysiącem lat. Inaczej trochę jak dzisiaj.

Szczęśliwy człowiek.

Pewien król zachorował śmiertelnie. Daremne były zabiegi lekarzy, aby go uratować. Nakoniec poradził jakiś mędrzec, że król wtedy ozdrowieje, jeśli wdzieje na się koszulę szczęśliwego człowieka i 24 godzin mieć ją będzie na sobie. — Myśli sobie toć nic łatwiejszego, jak znaleźć człowieka szczęśliwego. Woła tedy ministrów i pyta ich, czy są szczęśliwi? — Gdzie tam, ten ma za wiele pracy, ten nie zdrów i tak każdemu czegoś trzeba. — Wysyła tedy król posłów, aby po całym kraju szukali szczęśliwego człowieka.

Poszli najprzód szukać tego szczęśliwa w pałacach, ale znaleźli tam tyle nieszczęść, chorób, nudów, narzekań na świat, złe dzieci, że czemprędzej opuszczali pałace. Nie lepiej im się darzyło u mieszczan i rolników. I tam miał każdy swego robaka,, i tam, choc przy pracy, większa część nieszczęść znika, jednak żaden nie czuł się szczęśliwym.

Już posłowie wracali napowrót, gdy wtem, idąc przez las, usłyszeli gwizdanie i śpiew wesoły. Skierowali kroki w tę stronę, skąd ich głos dochodził i oto widzą węglarza, który w pocie czoła pracuje przy węglach, a choć w dymie, w kurzawie, śpiewa serdecznie, aż miło. Mówią z cichą do siebie posłowie, miałżeby być ten człowiek szczęśliwym? ależ to niepodobna. Pytają go jednak, czy jest szczęśliwym?

— A jakże, odpowiada węglarz, jestem zdrów, wesół, a choć jem tylko czarny chleb i popijam wodę, to nie pragnę nic więcej; dziękuję Bogu za to, co mi daje, za nic w świecie nie zmieniłbym mego ubóstwa i wesołości za największe bogactwa. Tak, tak, moi panowie! I zaśpiewał wesołą piosneczkę, że aż posłom żal się zrobiło, że oni nie są tacy szczęśliwi.

— O szczęśliwy człowieku, rzekną do niego po chwili, nie uczyniłbyś nam wielkiej przysługi i to dla samego króla? Oto jest chorym bardzo nasz pan miłościwy i dopiero wtedy ozdrowieje, gdy 24 godzin będzie miał na sobie koszulę szczęśliwego, pożycz nam więc dla króla swej koszuli.

— Chętniebym to uczynił, odrzecze węglarz, ale cóż, kiedy tylko mam to, co na mnie widzicie, to jest te szarawary (spodnie); plecy są gołe, bo koszuli nie mam.

Zasmuceni, a więcej jeszcze zadziwieni posłowie odeszli, a węglarz śpiewał sobie znowu, aż się po lesie rozlegało.

Otóż nauka dla nas, że można być przy największem ubóstwie szczęśliwym, jeśli się zadowolimy tem, co mamy, jak to już Jan Kochanowski, sławny poeta polski, przed 300 laty żyjący, powiedział: „Ten pan zdaniem mojem, kto przestał na swojem".

Bogactwo, szczęście, wszystko to niestałem:
Uczcie się wcześnie przestawać na małem.

O miłości Ojczyzny.

Wyjątek z kazania.

...Miłujcie ojczyznę, a mówcie tak z serca z Dawidem: — Jeśli cię zapomnę, ojczyzno moja i Jeruzalem moje, niech zapomnę prawicę ręki mojej!...

Jako tej najmilszej matki swej miłować i onej czcić nie macie, która was urodziła, i wychowała, nadała i wyniosła? Rozmyślcie, jakie od niej dobrodziejstwa i upomniki macie. Dała wam złotą wolność, dostatki i pokój, jakiego wiele królestw nie mają. Macie od tej ojczyzny sławę wojenną. Rodzi wam ta matka mężne, mądre i szczęśliwe hetmany, mocne i nieustraszone rycerstwo i lud taki, na który się nieprzyjaciele oglądają. Taż matka najmilsza uczyniła wam sławę u wszystkiego chrześcijaństwa i pogaństwa od wschodu do zachodu.

Cóż wam więcej uczynić mogła? Czemuż jej serdecznie miłować, i one w całości zatrzymywać, i dla zdrowia jej wszystkiego tracić, gdy tego jest potrzeba, nie macie? Onę miłując, sami siebie miłujecie, a nie utracicie; onej nie życząc i wiary nie dochowując, sami siebie zdradzacie. Miłujecie pożytki swoje pojedynkowe, a pospolite burzycie — i mniemacie, abyście dobrze sobie czynili i życzyli? Nie tak jest. Gdy okręt tonie, a wiatry go przewracają, głupi tłomoczki i skrzynki swoje opatruje i na nich leży, a do obrony okrętu nie idzie; i mniema, że się sam miłuje, a on się sam gubi. Bo gdy okręt obrony nie ma, i on ze wszystkiem, co zebrał, utonąć musi. A gdy swemi skrzynkami i majętnością którą ma na okręcie, pogardzi, a z innymi się do obrony okrętu uda swego wszystkiego zapomniawszy: dopiero swe wszystko pozyskał i sam zdrowie swoje zachował.

Ten najmilszy okręt ojczyzny naszej wszystkich nas niesie, wszystko w nim mamy, co mamy. Gdy się z okrętem źle dzieje, gdy dziur jego nie zatykamy, gdy wody z niego nie wylewamy, gdy się o zatrzymanie jego nie staramy, gdy dla bezpieczności jego wszystkiem, co w domu jest, nie pogardzamy: — zatonie, i z nim my sami poginiemy!

Ks. Piotr Skarga.

Obraz świata przedhistorycznego.

Gdybyśmy przenieśli się myślą w te odległe czasy, w których ludzi jeszcze na świecie nie było, cóżbyśmy ujrzeli na obszarach europejskiego lądu, dziś tak ożywionego pracą ludzką?

Ujrzelibyśmy rzeczy straszne i przerażające. Z każdej większej wyniosłości, na którą wszedłszy, obejrzelibyśmy się wkoło, przedstawiłyby się nam same bory, zarośla i bagna, nieprzebyte gąszcze, obszerne jeziora i rzeki, potem swego biegu rwące wybrzeża i wyżłabiające coraz nowe koryta. Wśród tej puszczy, nie znającej jeszcze człowieka, roiły się przeróżne istoty, dziś w wielu gatunkach zaginione.

Z głębi wód wychylały się głowy hipopotamów, obecnie znajdujących się jedynie w jeziorach środkowej Afryki, w bagnistych zaroślach pasły się nosorożce przedpotopowe o podwójnych rogach na nosie; po łąkach, bujnie trawą pokrytych, hasały stada dzikich koni, olbrzymich srogich wołów i jeleni o rozłożystych, wielkich rogach.

Gdybyśmy znowu zapuścili się w głąb puszczy — to wnet dobiegłyby uszu naszych straszne ryki i wycia tygrysów większych niż byki, hyen, wilków, lisów, kotów i innych drapieżców. Ale nad wszystkimi tymi potworami królował mamut — słoń — olbrzym o kłach aż na grzbiet zakrzywionych, który wprost przewyższał przynajmniej dwa razy wielkość dzisiejszego słonia.

Zwykle mamuty pasły się stadami, a różne pokrewne gatunki przyłączały się do nich, nie lękając się sąsiedztwa strasznych z pozoru, a jednak łagodnych olbrzymów. Lecz niech tylko ozwał się ryk przeraźliwy jaskiniowego kota, długiego na stóp czternaście, który z szybkością ptaka przeskakiwał przestrzenie kilkadziesiąt kroków wynoszące, w gromadzie mamutów wnet powstawał popłoch i pędził je przez lasy bagna i zarośla. Wówczas ziemia drżała pod ciężkim stąpaniem olbrzymów, trawy i krzaki płaszczyły się, a w miejscu przechodu mamutów gąszcz leśny znikał zostawiając puste obszary.

Wśród dnia lasy stały ciche, ale z zachodem słońca zaczynały się stopniowo ożywiać. Odzywały się wówczas wycia wilków, szczekanie hyen, ryki jaskiniowego niedźwiedzia, wrzawa powiększała się, stada żubrów, jeleni, reniferów, koni, mamutów przygotowywały się do walki i gromadziły w ścieśnione szeregi, nadstawiając rogi, by odstraszyć nieprzyjaciela.

Nad tym światem życia zwierzęcego i roślinnego panowały niczem nie powstrzymane siły natury. Gdy zawiał wicher, odwieczne dęby, sosny i buki, wyrwane z korzeniami, padały na ziemię, gniotąc swym ciężarem nieopatrzne stworzenia, które się do pni przytuliły — a ziemia trzęsła się i pękała, chłonąc na wieki w swe głębie rośliny, zwierzęta i głazy.

Czasami znowu spadały straszne ulewy. Przepełniały się koryta rzek, a wody, pędząc szczerbiły lądy, podmywały wzgórza, topiąc wszelkie stworzenie, spotykane w swym biegu. — I ogień także nie oszczędzał ziemi. W czasie owych burz strasznych pioruny zapalały drzewa, płomień obejmował puszcze, przenosząc się stamtąd na trawy i krzaki niszcząc, paląc wszystko; gasł dopiero wtedy, gdy mu już ofiar zabrakło.

Czasy to więc były straszne, i postać świata do dziś dnia taką by została, gdyby nie ostatni twór Boga na ziemi — człowiek. On to, jakkolwiek cieleśnie najstarszy, najpotężniejszym jest pomiędzy wszystkiemi stworzeniami ziemi, potężniejszym od mamuta, a nawet od jaskiniowego olbrzymiego kota, przed którym mamut drżał, jak liść na drzewie. Tę potęgę daje człowiekowi rozum. Przy jego to pomocy człowiek zawładnął dzikiem światem i okiełznał siły natury.

Chrząszczewska-Warnkówna.

Humor i satyra.

W SZKOLE.

Nauczyciel: Powiedz mi, Kaziuchna, do czego człowiek ma oczy?

Kazia: Do spania.